

"Gulu. Pamiętne lato" (fragment powieści) - wymiana zdań szeryfa i dyrektora szkoły —
Julius Throne

Szósty zmysł Harry'ego Henickera podpowiadał mu, że sprawa dotyczyła Jordana Briggsa. Od samego początku, gdy po pilnym telefonie został pospiesznie skierowany do The Mountain School w sprawie wypadku, był niemal pewien, że wezwanie to miało związek z nauczycielem kultury fizycznej. Co więcej, obawiał się, że wydarzenie to było znacznie poważniejsze od obłania auta kwasem masłowym.

Ulice były nadal mokre, ale nie padało tak, jak w południe. W powietrzu unosiła się wilgotna aura świeżości, podsycana powiewem leśnych zapachów, które spływały na Belmont Bay z okolicznych wzgórz, a od jeziora tę woń rozwiewał chłodny wiatr, chcący tego dnia zajrzeć we wszystkie zakamarki.

Harry zlecił Bobowi Warrenowi, aby ten powęszył w miasteczku i wybadał, czy ktoś zauważył jakieś uszkodzone auto, najprawdopodobniej pick-upa, albo czy ktoś coś wiedział o wypadku pod kinem. Bob miał także zajrzeć do zakładu mechanicznego Hump Road oraz zapytać rodziców Ashley, Nicholasa, Giny i Tylera, czy dzień wcześniej słyszeli w pokojach ich dzieci głośnie dźwięki muzyki.

Harry z impetem wjechał w szeroką kałużę, która rozbryznęła się na boki, i skręcił w bramę szkoły podstawowej. Minąwszy obszerne ulubione miejsce spotkań uczniów zwane Altaną, zatrzymał się obok potężnego auta straży pożarnej.

Chyba Briggs nie spalił się ze wstydu?

Wychodząc z plymoutha, mimo iż był z dala od parkingu, przez chwilę poczuł ten okropny zapach dochodzący z samochodu nauczyciela.

Każdy ma jakiś problem. Jeden musi się zmagać z falą wypadków, a drugiemu wóz tak śmierdzi, jakby w bitewny szal wpadło w nim stado skunksów.

Gary Colegate pokierował Henickera do sali gimnastycznej i dzięki temu policjant szybko znalazł się na miejscu wypadku. Z daleka zauważył człowieka w białym kitlu, jak rozmawiał z Allenderem, który pod marynarką miał błękitną koszulę z rozpiętymi od góry trzema guzikami, a kawałek krawata wystawał mu z bocznej kieszeni.

Czas na kolejny pojedynek... w końcu jestem szeryfem.

Gdy podszedł bliżej, mężczyźni zakończyli rozmowę, a Allender odwrócił się do niego.

– Witam pana, dyrektorze.

– Proszę za mną, szeryfie. – Dyrektor dał sobie spokój z przywitaniem i wszedł na salę gimnastyczną.

Z prawej strony parkiet zapyłony był jasną warstwą z widocznymi na niej śladami butów. Można się było domyślić, że ze znajdującego się tam pomieszczenia musiał wyjść jakiś podmuch, który wyrzucił ten pył na zewnątrz.

– To tutaj. – Zatrzymali się przed wejściem do magazynku. – Właśnie strażacy próbują podnieść regał.

Policjant zajrzał do środka i jego oczom ukazał się okropny widok. Pod zwalonym meblem leżał Jordan Briggs, którego twarz jakimś cudem nie uległa zgnieceniu – reszta ciała została bowiem zmasakrowana przez ciężar, jaki na niego spadł. Pod popękkanymi deskami była rozlana wielka kałuża krwi. Jeden ze strażaków właśnie rzucił na nią dużą, brudną szmatę.

Henicker pomyślał, że gdyby Briggs mógł cofnąć czas i uniknąć tego, co go spotkało, z pewnością gotów byłby nawet wsiąść do swojego cuchnącego samochodu i jeździć nim przez cały dzień po miasteczku, udając, że jego auto skropione jest perfumami z najnowszej kolekcji Chanel No.5.

Skąd w ogóle to określenie? Nie lepiej byłoby nazwać perfumy No.1?

Gdyby projektantka mody Gabrielle Chanel z pięciu kompozycji zapachowych przedstawionych jej w latach dwudziestych przez perfumiarza Ernesta Beaux wybrała pierwszą, to perfumy miałyby prawdopodobnie nazwę, o jakiej myślał szeryf.

Regał tak spadł na Jordana Briggsa, że jedyną nienaruszoną częścią jego ciała była głowa, która znalazła się w jednym kwadracie między półkami. Gdyby nie zmiądzony nos oraz zaschnięta strużka krwi na policzku i brodzie, można by uznać, że nauczyciel nadal żył, bo cały czas miał otwarte oczy i usta, jakby wciąż oddychał. Reszta członków ciała była przez ciężki regał prawie odcięta, a środkowa część, od szyi do pachwin, była zgnieciona pionową poprzeczką. Krew rozlała się po całej podłodze i doszła do progu, zapełniając szczelinę pod drzwiami.

Strażacy próbowali podważyć całą tę drewnianą konstrukcję, ale okazało się, że była zbyt ciężka.– Będziemy musieli pociąć ten drewnoziół, żeby wydobyć ciało, jasna cholera. Co za, kurwa, dzień! – rzucił jeden z nich. – Jerry, skocz po piłę.

– Będziemy musieli pociąć ten drewnoziół, żeby wydobyć ciało, jasna cholera. Co za, kurwa, dzień! – rzucił jeden z nich. – Jerry, skocz po piłę.

– Jest gorzej niż wczoraj z tym pijakiem w rębaku do gałęzi. Tam przynajmniej nie było czego wyciągać.

Allender z odrazą spojrział na strażaka.

– Ludzka papka spłynęła do pojemnika.

– Od razu gotowy na pogrzeb.

– Wystarczy przelać do urny, he, he.

– Widziałem jego gałki oczne, całkiem...

– Koszmarny widok, nie mogę na to patrzeć – odezwał się Allender, chcąc zagłuszyć obrzydającą go rozmowę, i zrobił smutną minę. – Moją szkołę prześladowuje jakieś fatum!

– Ale to jeszcze nic. Kiedyś, jak cię jeszcze z nami nie było, mieliśmy szkolenie przy autostradzie – kontynuował strażak. – Człowieku, to było...

– Może chodźmy tam – zaproponował dyrektor, słysząc, że zbliża się kolejna dawka przerażających opowieści z życia wziętych.

– Bardzo zagadkowo to wszystko wygląda, a do tego jeszcze nauczyciel wychowania fizycznego... – odrzekł Harry, patrząc na ścianę, z której w jakiś sposób oderwał się olbrzymi regał, na dziury po kołkach i wkrętach.

– Zagadkowo? Uważam, że po tych kilku dniach powinien pan już mieć jakiś trop. Coś za dużo tutaj tych wypadków. Czwooro uczniów i jeden nauczyciel z mojej szkoły nie żyje, do tego sklepikarz i pastor. Nie widzi pan, że coś jest na rzeczy? – Dyrektor okazał lekko rozgniewaną minę.

– Proszę mi uwierzyć, aż za dobrze to widzę.

– To dlaczego wciąż nic nie wiadomo? Co chwila ktoś ginie, moja szkoła traci swoją renomę, poza tym jutro mam wizytację władz oświatowych – właśnie przez to, co się tutaj dzieje. A pan chce rozdmuchiwać wypadek cheerleaderki, która na oczach setek osób przewróciła się i skręciła kark. Ewidentny wypadek. Ktoś zabił tych dwoje uczniów, a w gazecie piszą, że wypadki pastora i sklepikarza też są podejrzone. The Mountain School nie ma z tym nic wspólnego, zło leży z dala od niej, a pech polega na tym, że zginęły dzieciaki. Czy ruszył pan do przodu tę sprawę? – Po czym, zbliżył się do Harry'ego i zapytał ściszym tonem: – Może już pan coś odkrył?

Szeryf spokojnie zmierzył Allendera wzrokiem.

Ten Quasimodo znowu chce mną dyrygować?

– Rozumiem, że atrybutem dyrektora jest mechanizm absolutnej szkolnej władzy, ale mimo iż znajdujemy się na pańskim terenie bitwy, to ja tutaj jestem prawem – zaczął Harry, a dyrektor ściągnął brwi. – Ja tutaj mam przewagę funkcji, nadanej mi przez prawo, i w konfrontacji z urzędnikiem państwowym, jakim pan jest, tylko ja decyduję o tym, co, kiedy i jak będzie postanowione. Pańska artykulacja wydobywanych dźwięków jest niewątpliwie godna uwagi i pozazdroszczenia, he, he... gdyż idealnie dopasowuje pan ton wypowiedzi do jej znaczenia, a nacisk, jaki pan próbuje na mnie wywrzeć, sprawia, że gdybym był zakutym policyjnym wiejskim ćwokiem, podatnym na perswazję osób w garniturach, pewnie bym mu uległ, ale niestety dla pana wśród policjantów na takich zadaniach jak to zdarzają się też ludzie, którzy zdiagnozują pańskie zachowanie jako ociekającą tłustą chciwością władzy megalomanię i w żaden sposób nie ugną się pod pańskim naporem. Jediną wartością, jakiej jestem podporządkowany, jest chęć uczynienia bezpiecznym podległego mi obszaru oraz wypełnianie rozkazów moich przełożonych, a pańska osoba niestety ani trochę nie pasuje mi nawet do zarysów postaci mojego szefa z Belvidere.

Dyrektor poczerwieniał na twarzy i wciąż patrząc na szeryfa, wziął głęboki oddech. Harry miał wrażenie, że jego rozmówca zbiera wszystkie siły, żeby wybuchnąć, ale ten tylko otworzył usta i powiedział z kontrolowanym gniewem:

– Władza jest dla mnie matką braku litości dla takich podrzędnych, zaściankowych nieudaczników, którzy jedynie obnoszą się z mundurem, nie robiąc nic więcej. Wypełnianie obowiązków wymaga od policjanta przynajmniej najmniejszej chęci do podjęcia stosownych działań, ale pan żyje wyłącznie swoim cuchnącym tanimi fajkami tułaniem się od miejsca do miejsca, nie zauważając znaczeń tego, co się dookoła pana dzieje. Nawet jawnie olewa pan podpowiedzi ze strony innych, a to nie może się spotkać z aprobatą. Proszę pamiętać: na każdym poligonie trzeba zachować ostrożność, zwłaszcza jeżeli obserwuje pana ktoś, kto serdecznie ściska dłoń burmistrza, wyrażając ich głęboką zażyłość i obopólną chęć niesienia pomocy.

– Po pierwsze marlboro wcale nie są takie tanie. Po drugie: wygłosił pan całkiem niezłe przemówienie, mamy zatem remis? – Harry uśmiechnął się, nie wchodząc w szczegóły tego, co przed chwilą usłyszał.

– Trudno uznać tę partię za nierozstrzygniętą, bo to ja jestem primus inter pares. Burmistrz, zdaje się, może mieć trochę do powiedzenia, jeśli chodzi o ocenę pańskiej pracy. Czy się mylę? – Allender podkreślił swoje słowa złośliwym uśmiechem.

– Mądry mówca, to taki, który sam wie, kiedy się myli.

– Pańska elokwencja jest nad wyraz nie na miejscu, nie pasuje to do człowieka mającego mokre plamy pod pachami – zadrwił dyrektor i kilkakrotnie uniósł w bok ramiona, dając szeryfowi do zrozumienia, że ten się spocił.

– He, he, ponoszą pana teatralne gesty, dyrektorze, zwierżę noblesse oblige, co? – powiedział zaczepnie szeryf i z dużą dozą przyjemności sparodiował ruchy dyrektora z charakterystycznym dla kaczek dźwiękiem „kwa, kwa”.

– Uważaj pan... – Allender się rozżłościł.

– Hola, hola, obyśmy nie zbliżyli się do afektu, jestem szeryfem i to już by była anarchia. Pański egocentryzm kiedyś wyrządzi panu wiele szkody. Dlaczego na dachu pańskiej szkoły nie ma jeszcze ogromnego billboardu, straszącego tym zdjęciem z burmistrzem?

– Igra pan z ogniem, panie władzo. Gdy moja homeostaza zostanie zachwiana, nie będę mieć litości...

– Podziwiam siłę pańskiej pejoratywnej postawy. Ktoś inny na moim miejscu zamknąłby pana za obrazę policjanta, ale ma pan, można powiedzieć, szczęście, heh. Nie zrobię tego, bo wystarczającą przyjemność będzie mi niosło dręczenie pana. Poza tym mam nadzieję, że skromność oraz zdolność do niewpieprzania się w sprawy innych ludzi to pańskie dzieło, które po prostu jest jeszcze w budowie i trzyma mnie to w głębokiej, choć niecierplivej nadziei.

Dyrektor zmarszczył brwi, a gniew był jedynym, dało się wyczytać z jego twarzy. Henicker kontynuował:

– Tak, myślę, że to, co się tutaj dzieje, jest ściśle związane z pańską szkołą, sądzę więc, że niedługo pewnie się spotkamy. – Szeryf uśmiechnął się szeroko, widząc, jak nerwowość wypływała ze spojrzenia dyrektora.

– Niech pan się nie bawi w klatce z tygrysem, inaczej będę musiał porozmawiać z burmistrzem o tym, że nie daje pan rady.

– Byłby pan łaskaw powstrzymać się od tego miauczenia? Może powinien pan, dyrektorze, udać się do innego miasteczka, aby szerzyć oświecenie w pozostałych częściach kraju? W razie gdyby nie był pan miłośnikiem kryminalistyki, proszę przyjąć do wiadomości: materiał dowodowy często zbiera się i porównuje przez wiele, wiele dni, a to, że sprawa dotyczy pańskiej szkoły, w tej chwili nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

Dyrektor zmrużył oczy i powiedział spokojnie:

– A lepiej, żeby miało, bo działa pan na szkodę naszego miasta. Pańska opieszałość w działaniach nie po-

zostanie niezauważona, obiecuję to panu.

To trudna rzecz utrzymać bat posłuszeństwa na miejscu, ale kończy mi się cierpliwość.

Harry spuścił wzrok, wpatrując się w podłogę, wziął głęboki oddech. Po kilku sekundach powiedział:

– No dobrze, panie dyrektorze, chciałby pan wiedzieć coś znaczącego o śledztwie?

– Tak.

– Wie pan, gdzie w Belmont jest apteka? – zapytał Harry, odrobinę ściszonego głosem.

– Wiem.

– Świetnie. Więc to jest tak: całe to dochodzenie nie jest łatwe, ale jest coś, co w jego trakcie napotkałem i co ma niebagatelne znaczenie. W tej naszej jedynej aptece znajduje się coś... co być może... odmieniłoby całą sytuację – rzekł Henicker konspiracyjnym tonem, a dyrektor zmarszczył czoło i zbliżył do niego twarz.

– Co takiego?

– Sulfonamid.

– Słucham?

– Chodzi o to, że to śledztwo byłoby łatwiejsze, gdyby poszedł pan do tej apteki i kupił sobie sulfonamid, bo zapewne ma pan w mózgu jakieś bakterie. – Harry powiedział to bez wahania, po czym zaczął się wpatrywać w dyrektora, ciekawy jego reakcji.

No, rzuć mi jakieś mięso, na tym polega życie, lilipucie!

Allender zrobił się czerwony, a Henicker miał wrażenie, że głowa jego rozmówcy zaraz eksploduje jak arbuz.

– Do jasnej cholery, pan sobie kpi!

– Jak mogę sobie kpić z kogoś, kto ma na głowie aureolę?

– Masz przechlapane, glino, nikt nie będzie robić sobie ze mnie jaj! Wpadniesz we wnyki mojej władzy!

– W tej chwili mam większe problemy niż pańska megalomania.

– Musi pan jak najszybciej wyjaśnić tę sprawę, bo nie mogę pozwolić na łączenie wypadków z moją szkołą, do diabła!

– A ja nie mogę sobie pozwolić na wykluczenie tego podejrzenia.

– Cooo?! Żądam niezwłocznego wyjaśnienia przyczyn tych wypadków, bo w przeciwnym razie już ja załatwię, że zastąpi pana bardziej odpowiedzialny szeryf!

– Nedorzeczność. Pana uwielbienie dla utrudniania życia innym jest po prostu doskonałe, z wielką, miazdzącą zręcznością wprowadza pan swój rytuał przejścia władzy nawet nad policjantem, ale niestety nie trafił pan na kogoś, kto położy się u pana stóp i będzie głośno kwiczeć! To pan ma kwiczeć, bo wiele tu ode mnie zależy, gdy rozkażę zamknąć szkołę i gdy sprowadzę FBI do tego siedliska śmierci, będzie pan łązić kanałami, więc oszczędź mi swojego pieprzenia, ty pajacowaty gburze! – odpowiedział szeryf z wyraźnym rozdrażnieniem i dodał ciszej, twardo patrząc dyrektorowi prosto w oczy: – Ja nie idę na żadne kompromisy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Julius Throne, dodano 21.04.2020 11:43

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.